

Czasem delikatnie coś bierze górę nade mną

Salvatore Quasimodo

Całe niebo w ogniu. Widziałeś płynące kłęby dymu? Przelatywały tak nisko nad miastem, że prawie urwałyby mi głowę. Wydawało się, że w ciągu minuty nakrył nas czarny kapelusz, z którego runął dziki deszcz. Słyszałem dudnienie i wrzask. Światło zostało gwałtownie zgładzone, a potem zaczęło lać tak straszliwie spod tego kapelusza, że wielkie krople postrzącały wszystkie kwiaty w okolicy.

Po deszczu leżałem na mokrej trawie zgniatając robaki i dżdżownice. Coś włochatego chodziło mi po karku, ale niezbyt się przejąłem. Pewnie to pająk. Uwielbiam krzyżaki, gdy gryzą, to zachowują się jakby chciały całować. Trzeba mieć klasę! Poczuję się lekki. Od kilku godzin wpatrywałem się w przepływający świat. Niebo poruszało się delikatnie i drżało coś w powietrzu. Wszystko płynie... Zachwycam się tą świadomością od kiedy sił zaczęło mi brakować. Czasem ratują mnie majaki i zwidy. Podchodzą nieznane postaci trzymające się za ręce, najwyraźniej zjednoczone w duchu, który czeka i czeka na nas wszystkich przy bramie, za którą można tańczyć i oddawać się ćwiczeniom z ducha, a nie z ciała.

Przymknąłem oczy. Głowa opadła mi do tyłu, aż poczułem wnikające we mnie ciepło ziemi. Zastygałem. Wydawało mi się, że ciemność zbliża się do mnie i wiąże moje włosy w supelki i warkocze. Znowu wpatrywałem się w przepływające duchy chmur, czerpiąc z nich energię, która być może okaże się kluczowa w momencie abdykacji.

Dziwię się nieustannie z jaką trudnością wykonuję od pewnego czasu najprostsze czynności. Jak wiele czasu zabiera mi przemieszczanie się z kanapy do kuchni, wynoszenie śmieci, krojenie chleba wysuszonymi rękami. Ech, dobrze że przyszedłeś. Wybudziłeś mnie z tego letargu, z martwoty, która zapewne – gdyby dłużej potrwała – zamieniłaby się w surową i nieustępliwą śmierć.

Więc siadaj, nie zadawaj pytań, tylko spisuj dalej każde ze słów, które będę cedził przez zęby. Ciekawi cię co zdarzyło się dalej? Ha! Na czym ostatnio skończyłem? Aaaa, już wiem... Chodzi o ten niezrozumiały zwrot akcji, gdy on ucieka. Wycofuje się. Wraca tam, gdzie jego piekło. Zastanawiasz się pewnie dlaczego, skoro świata poza nią nie widzi. To są bardzo skomplikowane kwestie, a wybory nie zawsze są logiczne. Czasem coś nagłego strąca nasze życie w przepaść, podczas gdy my zostajemy na brzegu. Skuleni i pozbawieni życia. Popatrz na mnie.

Czy to możliwe, że trzy lata mogą minąć niezauważone? Pach, pach, a kuku, nazywam się czas, siedzę na szczycie twojej chałupy i właśnie odebrałem ci trzy lata, trzydzieści sześć miesięcy, i jakąś absurdalną ilość dni, a ty? Wciąż jesteś w tym samym miejscu? Nie do wiary! Jakby cię ktoś wkleił do rodzinnego albumu. Jedyna zmiana jaką dostrzegam, to kolor i łuna. Trochę pożółkłeś i trochę wyblakłeś. Czy naprawdę nie zrobiłeś ani kroku dalej?

Siedział od kilku tygodni w domu, rzadko wychodził, niemalże nie spotykał się z ludźmi. Coraz mniej pisał, wycofywał się w głąb mrocznych korytarzy, które wiły się w jego wnętrzu. Ukrywał się przed samym sobą. Nie widział jej od ponad trzech lat, od kiedy zostawił ją w wielkich lasach na wschodzie tego kraju dociśniętego wielkim tyłkiem do rzeki. To tam błędziła – kto wie jak długo? Tam się błąkała i szukała śladów swojego dzieciństwa. Czy odnalazła to czego szukała? Nie wiedział, zapamiętał jej lodowaty wzrok, gdy siedział już w autobusie przyklejony ustami do niedomytej szyby i machał jej na pożegnanie.

Po powrocie dzwonił do niej przez wiele miesięcy. Czasem po kilkanaście razy dziennie. Ale za każdym razem słyszał tylko jej dziewczęcy głos nagrany na sekretarce,

mówiący wszystkim intruzom, że to jej numer, a ona prosi o pozostawienie wiadomości lub o wybranie jej numeru w innym czasie. Liczę, że wówczas będziesz miał więcej szczęścia – dodawał jej głos na koniec. Z czasem dzwonił coraz rzadziej, nie wierząc już w to, że odbierze. Traktował te telefony jak konieczne rytuały, bez których dzień nie mógłby się zakończyć spokojnym snem. Ostatnią próbę wykonał pięć miesięcy i trzy tygodnie po dniu, gdy widział ją po raz ostatni. Potem zrezygnował i zamilkł, a ona roztopiła się w mętnym powietrzu umykających dni, a z czasem stała się westchnieniem powracającym od czasu do czasu w najmniej spodziewanych momentach.

Tak było do czasu, gdy w pewien styczniowy poranek w półleżącej pozycji tkwił od kilku godzin w fotelu trzymając obie stopy na stole. Usłyszał dźwięk telefonu dobiegający z sąsiedniego pokoju. Nie zareagował. Oddawał się ciszy, a cisza intonowała jego myśli, dotąd skołowane i gęste, teraz przyjemnie wyzwolone ze swego więzienia, w którym zostały osadzone. Czuł jak świat przemierza swobodnie jego wnętrze, a bezkresny spokój opanowuje go i uspokaja myśli. Telefon dzwonił jeszcze kilka razy. W końcu zwlekł się z fotela. Gdy usłyszał jej głos, zaniemówił. Poczuł w piersiach nagłą falę gorąca. Musiała kilka razy powtórzyć swe wdzięczne i nieco nerwowe: halooo? – aby zareagował. Lecz zamiast powiedzieć cokolwiek, zaczął się śmiać. W końcu ochłonął i powiedział: czekałem na ciebie, przepraszam. Teraz to ona zaczęła się śmiać, daj spokój, nie wracajmy do tego, po prostu przyjedź, czekam przy Czarnej Wieży.

Zdziwił się, bo Czarna Wieża położona była daleko za miastem i trzeba było minimum dwóch godzin, aby wspiąć się na wysokie wzgórze, aby dotknąć czarnej konstrukcji oblepionej ziemią i kruszywem. Ona jednak rozłączyła się błyskawicznie, on zaś został z telefonem w ręce, zdziwiony i oniemiały, nie dowierzający w to, co wydarzyło się przed chwilą.

Gdy dotarł na miejsce słońce zsuwało się powoli z nieba w stronę ziemi. Zobaczył ją z daleka. Opierała się o konstrukcję wieży. Kiwała się lekko w przód i w tył, jakby wprowadzała się w stan hibernacji. Od razu dostrzegł, że bardzo się zmieniła. Nie chodzi o to, że się zestarzała. Biło od niej zupełnie inne światło, niż dotąd. Dostrzegł to od razu, gdy odwróciła się w jego stronę i z wyraźną ulgą spojrzała na niego błękitnymi oczami.

Uczyniła dziwny gest. Wysunęła obie dłonie w przód i dotknęła jego włosów. Coś wyszeptwała, ale nie dosłyszał. Brzmiało to jak zaklęcie. Podeszedł do niej i przytulił ją mocno. Poczuł słodkawy zapach jej perfum i szampon kokosowy na końcówkach włosów. Gdy siedli pod wieżą, ich oczom ukazał się niezwykle widok. Znajdowali się na wysokości pełzających w ich stronę chmur, przez które przeświecało zachodzące słońce. Biło od niej przedziwny spokój, którego wcześniej nie dostrzegał i który udzielił mu się błyskawicznie. Milczeli, jak w dawnych czasach pozwalali przemówić tajemnicy, która po raz kolejny stawiała przed nimi, naga, ukryta w miejscach, gdzie nikt by jej nie szukał.

Opierając się głową o jego ramię wskazała na zbliżający się z oddali tłum wspinający się w ich stronę po zboczu góry. Nie poruszył się. Zapalił papierosa i milczał. Siedzieli w bezruchu i patrzyli w dal, lecz jakby ich nie było. Nie zdążyli niczego wyjaśnić ani sprostować, nie wracali, ani nie szli naprzód. Zaczęli rozmawiać, ale szybko zamilkli. Byli częścią większego skupiska gwiazd i ciał niebieskich. Słyszeli głosy nieobecnych, którzy zbudzeni ze snu stawali przed nimi z otwartymi ramionami. Łagodni, samotni, płynący zbyt daleko od brzegu, aby można było ich dotknąć lub zatopić.

Patrzyli na te cuda coraz bardziej zahipnotyzowani, nieobecni i zdrętwiali. Nie byli w stanie się ruszyć. Wzięła go za rękę, zaprowadziła w miejsce, w którym mógł zrozumieć ciszę swego umysłu i piękno bijącego własną melodią serca. Po jakimś czasie wokół nich pojawiło się wiele postaci. Nie wiadomo skąd się wzięły, ani dokąd zmierzają. Było ich pełno. Pojawiły się niespodziewanie, jakby maszerwały solidarnie ku niebu, ku nieznannej sile pogodnego dryfowania, wbrew temu co nieodwracalne i puste. On dostrzegł, że szukają ukojenia, choć najwyraźniej nie są pewne czy idą w dobrą stronę. Patrzyli na nich w milczeniu, z zaciekawieniem i smutkiem. Przed nimi rozciągało się

morze ludzkich głów i ciał odartych z jakichkolwiek cech dystynktywnych i charakterystycznych rytów. Napierające ludzkie stworzenia tworzyły masę, z której trudno było kogokolwiek wyróżnić. Na pierwszy rzut oka wyglądali niczym pełzające żaby. Chcieli się zerwać i biec, a przecież jedynie pełzali, potykali się o nie swoje nogi, kluczyli i szamotali się z niewidzialnym wrogiem.

Czy nie wydaje ci się, że te postaci, to przecież my wszyscy: zagubieni, nasączeni raną, ale złączeni i zsynchronizowani w jakimś cudownym uścisku? szepnęła Ona, nieco przerażona tym widokiem i jeszcze mocniej wbiła się w jego plecy. Wyglądają jak gdyby płynęli, szepnął z uznaniem, nie wiedząc co powiedzieć i jak to wytłumaczyć. Ona wiedziała, że płyną donikąd. Wokół panowała już ciemność. Oboje czuli, że tej nocy wszyscy odnajdą właściwą drogę, że każdy lęk niebawem się skończy, a złość zostanie spisana na straty. Nie musieli sobie niczego tłumaczyć, tym razem rozumieli się bez słów. Płynęli w nieznanym kierunku, wytyczali drogi, odkrywali siebie w sobie, dla siebie, w harmonii ze sobą, a wszystko po to, aby w końcu wyjść poza siebie i tam już pozostać.